

POLACY WYPĘDZENI

Obszerne fragmenty dyskusji panelowej „Polscy wypędzeni” zorganizowanej przez BEP IPN w Zamościu 2 grudnia 2003 r., której towarzyszyła wystawa „Wojenne dzieciństwo. Losy dzieci polskich pod okupacją hitlerowską” przygotowana przez OBEP IPN Łódź. W dyskusji udział wzięli ks. bp prof. dr hab. Tadeusz Pieronek (rektor PAT), prof. dr hab. Zygmunt Mańkowski (UMCS), prof. dr hab. Andrzej Friszke (członek Kolegium IPN) i red. Thomas Urban (korespondent „Süddeutsche Zeitung”, autor książki *Od Krakowa po Gdańsk. Wędrówka przez dzieje polsko-niemieckie*).

Grzegorz Motyka: Oprócz zgromadzonych z okazji dzisiejszej dyskusji osób jest jeszcze jeden milczący jej uczestnik, to jest miejsce, gdzie ona się odbywa – Zamość i Zamojszczyzna, która jest miejscem szczególnym, jeśli chodzi o wysiedlenia w czasie drugiej wojny światowej. To tutaj próbowano stworzyć pierwszy próbny poligon niemieckiej strefy osiedleńczej. Wysiedlono stąd kilkadziesiąt tysięcy osób i zasiedlono te tereny Niemcami, m.in. z Rumunii. Ale, co równie istotne, Zamojszczyznę w pewnym sensie pośrednio dotknęły wysiedlenia już w latach 1939–1940. To tu m.in. spływali wysiedleńcy z Poznańskiego. Później w 1943 r. na Zamojszczyznę docierali Polacy z Wołynia, uciekający przed oddziałami UPA. Tylko w lipcu–sierpniu było ich kilka tysięcy w pobliskim powiecie hrubieszowskim. Zamojszczyzna to także wysiedlenia ludności ukraińskiej po wojnie i – o czym się chyba wcale nie pamięta – ostatnie przymusowe wysiedlenia ludności polskiej z 1951 r., kiedy doszło do tzw. wyrównania granic pomiędzy Polską a ZSRR. Także te wysiedlenia ludności polskiej były wysiedleniami przymusowymi.

Zbieramy się tutaj również z tego powodu, że wielkie emocje w Polsce wywołał projekt powstania Centrum Wypędzonych w Berlinie. Projekt ten spotkał się w naszym kraju z niechętnym przyjęciem. W czasie dyskusji, która nawiązała się wokół tego projektu czy wokół problemu wysiedleń, już niejednokrotnie zwracano uwagę, że w Niemczech dochodzi do rewizji historii, a zwłaszcza historii drugiej wojny światowej. Pojawia się lęk, że Niemcy zaczynają usprawiedliwiać to, co się stało w czasie wojny za ich przyczyną. Z całą pewnością możemy powiedzieć jedno – w Niemczech pamięć historyczna drugiej wojny światowej skupia się wokół dwóch wydarzeń – zagłady Żydów i wojny ze Związkiem Sowieckim. Wojny niezwykle krwawej i brutalnej, tu wskazuje się na los jeńców wojennych. Natomiast cierpienia pozostałych narodów i państw są traktowane jako drugorzędne.

ZAPOMNIANE WYSIEDLENIA

Helga Hirsch na łamach „Rzeczpospolitej” zadała pytanie, czy jest jakaś różnica między bólem niemieckiej matki, która straciła dziecko





Fot. ze zbiorów IPN (GKSZpNP)

Pacyfikacja Zamojszczyzny. Odbieranie dzieci rodzicom

w czasie bombardowania Hamburga, a bólem polskiej matki, której syna rozstrzelano na Pawiaku. Czy jest jakaś różnica pomiędzy polskim i niemieckim bólem? Takie stawianie sprawy nie spotyka się w Polsce ze zrozumieniem, wywołuje wręcz obawę, że te polskie cierpienia są po prostu zapomniane i niedostrzegane. Można też wskazać na niemiecką wystawę o zbrodniach Wehrmachtu; otóż rejestracja tych zbrodni rozpoczyna się w 1941 r., a więc od uderzenia na Związek Sowiecki. Nie ma żadnego wspomnienia na ten temat, co działo się wcześniej, chociażby w czasie kampanii polskiej we wrześniu i październiku 1939 r., kiedy oddziały Wehrmachtu i formacji paramilitarnych i policyjnych także popełniały zbrodnie. Między innymi z tego powodu IPN przygotowuje swego rodzaju polski suplement do niemieckiej wystawy o zbrodniach Wehrmachtu we wrześniu 1939 r.

Jeszcze jedną rzecz można wychwycić z tych dyskusji wokół Centrum Wypędzonych: należy mówić o ofiarach. Tak jak Niemcy chcą mówić o swoich ofiarach, tak również i my musimy mówić o swoich ofiarach. Polscy uczestnicy tej dyskusji uświadomili sobie, że o polskich wysiedlonych historia trochę zapomniata. Przede wszystkim pamiętamy o skierowanej przeciwko inteligencji zbrodniczej akcji „AB”, o masowych rozstrzeliwaniach, o obozach koncentracyjnych. Wyini-

ka z tego, że cierpienia tych osób, które zostały wysiedlone, były jakby mniejsze. I w związku z tym niewiele osób, nawet interesujących się historią, pamięta o tym, że przymusowe wysiedlenia ludności polskiej zaczęły się już we wrześniu 1939 r., w tym pierwsze wysiedlenia z Gdyni; że trwały one przez kolejne lata 1940 i 1941, objęły Wielkopolskę, Pomorze, Śląsk, Żywiecczynę; że dotknęły Zamojszczyznę; że były wysiedlenia z regionu białostockiego i z terenów, gdzie tworzone duże poligony wojskowe, chociażby na Rzeszowszczyźnie.

UHR DEUTSCHE STADT

Zygmunt Mańkowski: Ta sala, w której dzisiaj zebraliśmy się, jest świadkiem wielkich i tragicznych wydarzeń. 15 lipca 1942 r. dowódca SS i policji, jeden z największych zbrodniarzy w rejestrze zbrodniarzy hitlerowskich, Odilo Globocnik, tym razem oficjalnie, w obecności dziennikarzy „*Krakauer Zeitung*”, ogłosił, że Zamojszczyzna będzie pierwszym „nasiedleńczym” terenem niemieckim na Wschodzie. Wówczas również ofiarował to miasto Himmlerowi, miało ono przyjąć nazwę Himmlerstadt, ale ponieważ nie było Hitlerstadt ani Goebelsstadt, więc zmieniono tę nazwę na Pflugstadt, miasto niemieckiego pług, który miał przeorać ziemie wschodnie. Ta nazwa też jednak nie weszła w życie i wciąż pisano „Zamosc”, jako niemieckie miasto, *uhr deutsche Stadt*. 28 listopada 1972 r., w trzydziestą rocznicę tych wydarzeń, odbyła się tu, w Zamościu, wielka międzynarodowa konferencja poświęcona przesiedleniom przez III Rzeszę i jej sojuszników w czasie drugiej wojny światowej. Zorganizował ją Komitet Historii II Wojny Światowej, organizacja ogólnoswiatowa z siedzibą w Paryżu, na której czele stał wybitny uczyony francuski prof. Henri Michel, oraz Komisja Historii II Wojny Światowej, która działała przy PAN w Warszawie i UMCS. Te trzy instytucje zaprosiły do Zamościa wybitnych historyków z całego prawie świata. Efektem konferencji była książka, która – w dziwny sposób – nie trafiła na półki księgarskie.

Potrzeba poruszania tego tematu wynikała stąd, że Polska w oskarżaniu Niemców jest w znacznym stopniu osamotniona. Wówczas już Niemcy rośli w butę i w siłę. Relatywizowali swoje zbrodnie, spychając je na kogo się dało, a swoją odpowiedzialność za zbrodnie przemilczali. Nie chcieliśmy być samotni w tym krzyku rozpacz, jaki dochodził z Zamojszczyzny, wobec tego zaprosiliśmy wielu naukowców, żeby powiedzieli, jak Niemcy działali na ich terenach. Niemcy wysiedlali ludność, bo mieli manię prześladowczą owego *Lebensraum*, tworzenia nowej przestrzeni życiowej dla swego narodu, który miał uporządkować przyszłą, zdobytą przez nich Europę. Dotyczyło to również Styrii, Chorwacji, Tyrolu, Alzacji, Lotaryngii, Litwy, Łotwy i Ukrainy. Wszędzie tam Niemcy próbowali robić porządki i dokonywali przesiedlania, wypędzania ludzi w okrutny sposób.



WYSIEDLENIA I EKSTERMINACJA

Celem jednak wszystkich tych akcji były głównie wysiedlenia, natomiast na Zamojszczyźnie chodziło o coś więcej. Zygmunt Klukowski, lekarz ze Szczepbrzeszyna, był jednym z nielicznych świadków na procesie w Norymberdze, który miał udowodnić związek wysiedleń na Zamojszczyźnie z generalnym planem zagłady Słowian. Wtedy to się nie udało. Nam na tej sali w 1972 r. też to się nie udało. Ale udało nam się powiedzieć, że Zamojszczyzna stanowi ewenement w dziejach Europy okupowanej przez III Rzeszę i jej sojuszników, bo po raz pierwszy zastosowano tutaj połączenie przesiedleń z działaniami o charakterze eksterminacyjnym. Prof. Czesław Madajczyk w obecności zebranych historyków postawił tezę, której nie podważono, że tę akcję można nazwać wysiedleńczo-eksterminacyjną. W toku tych akcji segregowano ludzi, część mordowano, niektórych posyłano do Rzeszy na roboty przymusowe, zwane powszechnie niewolniczymi, oddzielano dzieci od rodzin i wysyłano do obozów dla dzieci w Łodzi, gdzie próbowano je germanizować. Z punktu widzenia prawa międzynarodowego wysiedlenia ludzi na ziemiach wcielonych do Rzeszy, szczególnie na Zamojszczyźnie, to nie było rugowanie, przesiedlenie, to było wysiedlenie połączone z działalnością eksterminacyjną. W prawie międzynarodowym działanie takie nosi nazwę *debellacja*. *Debellatio*, o czym Polacy mało piszą, to jest uzurpowanie sobie prawa do dokonania w czasie wojny, jeszcze przed traktatem pokojowym, aneksji i trwałych zmian, które nie dadzą się łatwo usunąć. Rzecz więc polega na tym, że nasze działania na tzw. ziemiach odzyskanych były zgodne z prawem międzynarodowym, były zgodne z traktatem pokojowym zawartym w Poczdamie, potem przypieczętowanym w Helsinkach. Natomiast wysiedlenia na Zamojszczyźnie były z punktu widzenia prawa międzynarodowego zbrodnicze i nic nie może tego usprawiedliwić.

NIEMCY NIEMCOM...

Był jeszcze jeden element, który zaskoczył wówczas świat i Europę. Mianowicie to, że Niemcy po raz pierwszy wtedy odeszli od zasady zdobywania terenów sobie przyległych. Wybór Zamościa, oddalonego od granic Rzeszy, był niebezpiecznym zjawiskiem. Po raz pierwszy przeskoczono przez pewne tereny, które później również miały być zgermanizowane. Budowano wielkie pasmo ziem od Siedmiogrodu aż po kraje nadbałtyckie, dawne Inflanty. To miał być pas, który miał podzielić Słowian i stąd miały wychodzić wypadowe uderzenia niemieckie aż po Ural. Jednocześnie w swego rodzaju kocioł wzięto ludność znajdującą się na zachód od tego pasa, który konsekwentnie miał być budowany. I na dodatek prowadzono eksterminację i segregację. W orbitę tych działań dostało się 297 wsi, około 110 tys. mieszkańców. Te zbrodnie powinny być ze szczególną siłą uwypuklane.

Wysiedlone tereny zasiedlano Niemcami z różnych okolic, przede wszystkim z Rumunii, z Besarabii, z Siedmiogrodu. Oni też padli ofiarą





nikczemnej niemieckiej hitlerowskiej polityki. To byli ludzie, których wyrzucono z ich siedzib rodzinnych, kiedy tamte obszary włączono na skutek ultimatum do terenów sowieckich. Niemców stamtąd zabrano, bo nie chcieli zostać na obszarze ZSRR, przeniesiono pod Łódź, obiecywano złote góry, mieli być osiedleni na ziemi wielkopolskiej i na Pomorzu. Ponieważ tamtejsze niemieckie władze odmówiły ich przyjęcia, Globocnik zdecydował się przyjąć ich tutaj i tutaj ich osadzić. Ani jednego dnia, ani jednej nocy nie mieli spokojnej. Tu się wszystko zakotłowało. Wybuchło powstanie zamojskie. Tego terminu nie nadużywamy, on został użyty przez jednego z wytrawnych dowódców niemieckiej żandarmerii, który to obserwował. Jego raport o powstaniu zamojskim i użycie tego słowa jest dosyć symptomatyczne. Nie udało się więc Niemcom opanować tego terenu. Niemcy, których tu „nasiedlono”, stali się też ofiarami. Wielu z nich uciekło w popłochu już w styczniu 1944 r., wielu zginęło w ogniu walki, kiedy 1. Front Ukraiński wtargnął na tę ziemię, a Armia Krajowa ruszyła do wszechstronnych działań, nie tylko odwetowych, ale także zaczepnych; kiedy Bataliony Chłopskie wypowiedziały walną bitwę na Zamojszczyźnie. Ofiarami tej walki padli Polacy i Ukraińcy. Musimy zrozumieć także, że Wołodymyr Kubijowycz, który kierował sprawą ukraińską przy Hansie Franku w rządzie GG, wielokrotnie protestował przeciwko temu, co zrobili Niemcy z Ukraińcami. Przesiedlili ich na miejsce wysiedlonych Polaków. Mieli oni bowiem przyjąć na siebie pierwsze uderzenia polskiego ruchu oporu z Puszczy Solskiej i Roztocza i bronić wsi zasiedlonych Niemcami. Zakotłowało się, Polacy uderzyli na te wioski. Ukraińcy odpowiedzieli również bezwzględną siłą, byli dobrze uzbrojeni. Posterunki ukraińskie były bardzo groźne dla Polaków, którzy ponieśli wielkie ofiary. Później Richard Wendler, który był zresztą szwagrem Himmlera, nowy szef dystryktu lubelskiego, pisał, że tutaj próbowano stosować angielskie metody, nastawiając jednych przeciw drugim. Nic z tego nie wyszło, wszędzie wybuchła nienawiść do Niemców, zarówno wśród Polaków, jak i Ukraińców. Ich też pozbawiono siedzib, obiecywano wiele, a stali się obiektem ataków polskiej partyzantki. Takie piekło zgotowali Niemcom Niemcy.

Straty Zamojszczyzny, wciąż niepoliczona do końca, są ogromne. Wprawdzie Niemcom udało się schwytać tylko około 50 tys. ludzi, ale 50 tys. znalazło się w tragicznej sytuacji. Ukrywali się po lasach w ziemie. Często docierały do nich wiadomości o tym, co się dzieje w obozach przesiedleńczych, o tych wywożonych transportami dzieciach. Zamojszczyzna poniosła ogromne straty, które trudno policzyć. Jeszcze do dziś ta ziemia liże swoje rany.

LOS DZIECI

Bp Tadeusz Pieronek: Nie chciałbym występować w charakterze rektora Papieskiej Akademii Teologicznej, bo zobowiązywałoby mnie to do zaprezentowania udokumentowanych badań nad wysiedleniami na Żywiec-czyźnie. Wolę być świadkiem, świadkiem bezpośrednim, trochę łagod-



Fot. ze zbiorów IPN (OKŚZpNP w Łodzi)

Chłopiec w obozie „rasowym” przy ul. Spornej w Łodzi.
Tam zdecydowano o germanizacji dzieci

niejszej formy wysiedlenia niż ta, którą przeżyli moi rodzice, rodzina i siostry. W wysiedleniu rodziców i sióstr nie brałem udziału, uratowałem się przed tym, ponieważ zostałem tydzień wcześniej wywieziony kilkanaście kilometrów na południe od Żywca. Znalazłem się w Kętach koło Oświęcimia u mojego wujka, z moimi dwoma kuzynami i ich matką, żoną oficera osadzonego już wówczas w oflagu w Choszczynie, a potem w Lubece. Ciotka była zawodową nauczycielką, co okazało się bardzo szczęśliwym zbiegiem okoliczności dla mnie i dla wielu innych dzieci w Kętach.

To moje wysiedlenie było łagodne, ponieważ znalazłem się wśród krewnych. Ale z tego nie wynika, że go nie odczułem. Byłem przede wszystkim pozbawiony przez pięć lat rodziców i jako dziecko musiałem zarabiać na życie. Całą wojnę spędziłem na pasieniu krów, co dla chłopaka sześciolatniego jest rodzajem niewoli. Byłem też blisko Oświęcimia i miałem świadomość, co się tam dzieje, ponieważ jako ministrant brałem udział w pogrzebach urn z rzekomymi prochami więźniów Oświęcimia, które czasem rodzina zdołała wydobyć od władz niemieckich z obozu. Pamiętam Oświęcim z tamtych czasów. Czuję do dziś zapach kominów z krematorium. Ta łagodna forma wysiedlenia nie była jedyką. Ponieważ budynek, w którym mieszkaliśmy, był w dobrym stanie, wysiedlono nas ponownie, przerzucając do jakiejś rodziny, tłocząc nas w pomieszczeniach, które nie były wystarczające dla tej liczby osób.

MACIE 15 MINUT

Ale ja chciałem być tutaj także świadkiem pośrednim, to znaczy chciałem się powołać na dość szczegółową relację, jaką opracował mój ojciec o wysiedleniu z Żywiecczyny. Relacja co prawda została napisana w 1965 r., ale jest o tyle wierna, że ojciec był wójtem dość dużej gminy, w której mieściła się także i moja wioska, która się nazywała Radziechowy, i część Żywca za rzeką Sotą. Żywiec był wolny od Żydów,

tam obowiązywał przywilej królewski, że nie wolno było im tam się osadzać, a w Zabłociu, za rzeką, to była druga część miasta, w której granicach mieszkało bardzo wielu Żydów. Tam ojciec przed wojną był wójtem. Miał wykształcenie, miał pewien rodzaj talentu poetyckiego, pisał wiersze, dokumentował wydarzenia w różnego rodzaju pieśniach, które były śpiewane w rodzinie. Te przekazy mają dużą autentyczność, były pisane na żywo. Chciałbym państwu streścić parę fragmentów jego wspomnień, jak wyglądało wysiedlenie.

Krążyła po wsi wieść, że nastąpią wysiedlenia, ponieważ już nastąpiły w sąsiednich wioskach. Ale wiadomości o charakterze tego wysiedlenia były mylne. Mówiono mianowicie, że są to przesiedlenia do miejsc, gdzie można lepiej pracować, znaleźć się w lepszych warunkach życiowych, gdzie przyjmuje się ludzi z orkiestrą i z weselem, i oczywiście oni wszystko mają do dyspozycji. Taka rozmowa odbyła się między innymi przy stoliku z piwem, gdzie chłopci zebrali się w kółku rolniczym dnia 2 października 1940 r. Opowiadali sobie te rzeczy. Wszedł na to jeden z żandarmów niemieckich, policjant o nazwisku Baron, który usłyszał, że tam ludzie śpiewają sobie „Jeszcze Polska nie zginęła”, więc zabrał do aresztu kogo mógł, ale przeczył, jakoby w tej miejscowości miały być wysiedlenia. Co się okazało? Następnego dnia, 3 października 1940 r. o godz. 4.00 rano przebudził mieszkańców warkot ciężkich samochodów. Wokół wsi ustawiono karabiny maszynowe. Nikogo nie wpuszczano ani nikogo nie wypuszczano, a nawet w samej wsi nie można było przechodzić z miejsca na miejsce. Policja przeprowadzająca wysiedlenia ulokowała się w naszym domu. Zaciągnęli linię telefoniczną i zaczęli wysiedlanie. Ustanowiono dwa miejsca zbiórki – pierwsze koło strażnicy, w środku wsi, drugie na górze, na placu Mików. To była duża, góraska wioska, droga schodziła w dół w dolinę Soły. Wysiedlenie objęło prawie dwie trzecie wsi. Niemcy wchodzili do domów trójkami, odczytywali listę wyznaczonych do wysiedlenia mieszkańców tego domu i po niemiecku zapowiadali: macie 15 minut, możecie zabrać bagaż do 25 kilogramów, dokumenty, papiery. Ponieważ wśród tych wysiedlających byli Ślązacy, to po śląsku odzywali się mniej więcej tak: „Bajtliki se pobiercie najwyżej 25 kilogramów, papira, dowoda, a nie bier pierzyna, kołdra i kładungu, bo jak cie, pieruna, zawale tom graba, to ino bachora z ciebie wyleco”.



JAK BYDŁO

Taki był klimat i ten klimat jest udokumentowany faktami. Po prostu brano ludzi za kark i kolbami wyrzucano z domu. Jeśli ktoś nie chciał zastosować się do rozkazu albo zabierał pierzynę czy coś ciepłego – choć był to wprawdzie ciepły październik, ale można się było spodziewać, że wygnanie trochę potrwa – to po prostu rozpruwano to bagnetami, nie licząc się z niczym. Brano wszystkich, niezależnie od tego, w jakim byli wieku, były tam także małe dzieci, między innymi moja siostra,



Fot. ze zbiorów IPN (GKŚZpNP)

Wysiedleni opuszczają wioskę.
Akcja wysiedleńcza na Zamojszczyźnie

która właśnie skończyła rok. Ludzi ładowano do ciężarówek, jak bytło zganiano na odpowiednie miejsce i segregowano. Potem przewieziono do Żywca, ok. 7 km dalej. Umieszczono jedną grupę w szkole, drugą w budynku „Sokoła”, gdzie ludzie byli przetrzymywani przez trzy dni, widocznie jeszcze nie było decyzji gdzie, jakimi środkami i w jakim kierunku pojadą. Nikt nie interesował się zupełnie, co ci ludzie będą jedli, co będą pili. Dopiero po pewnym czasie zatroszczył się o to Polski Czerwony Krzyż. Po trzech dniach załadowano ich na zamknięte bydlęce wagony i transportem przez Bielsko, Łódź przewieziono do Lubartowa. Można sobie wyobrazić, jak wyglądali ci ludzie sftoczeni w bydlęcych wagonach bez żywności, bez napojów, choć np. w Łodzi ogłoszono, że dzieci mogą dostać mleko. Jak matki wyszły po to mleko, okazało się, że mleka było kilka litrów na kilka wagonów, reszta wróciła z kwitkiem.

WYSIEDLENI CZY PRZESTĘPCY

Perfidią Niemców było to, że ci wysiedleńcy zjawiali się w tych rejonach Polski, do których ich przeznaczano, w aurze przestępców. Władze na miejscu nie były zawiadamiane o tym, że przyjedzie jakiś transport. Z niewiadomych powodów transport, w którym znajdowała się moja rodzina, został wyładowany w Lubartowie i stamtąd przewieziony furmankami do Parczewa, bez żadnej troski o to, co tym ludziom może się stać po drodze. Mówiłem, że był to ciepły październik, ale właśnie tam zaczęły się trudności z pogodą, bo przyszła bardzo

gwałtowna burza. Jadący wozami ludzie znaleźli się w strasznej sytuacji – umęczonych wcześniejszą podróżą zaskoczyło zimno, silny wiatr, ulewny deszcz, wozy się przewracały. Przywieziono ich na plac do Parczewa i rozdzielano, moi rodzice i siostry dostali się do miejscowości Stępków, gdzie przywieziono ich po prostu pod próg. Rozdzielenie wysiedlonych po domach było zadaniem wójta. Przychodził do domu, otwierał drzwi i – proszę bardzo, tu jest pięć czy sześć osób. Z mojej wioski wysiedlono 214 rodzin (w sumie 1031 osób). Rodziny przeciętnie liczyły po pięć–sześć osób. Proszę sobie wyobrazić, że do tych domów na Podlasiu, które były inne niż dzisiaj budowane, zwykle to była kuchnia i jakaś komórka, nawet nie zawsze z podłogą, tam włoczono tych ludzi bez żadnych perspektyw.

Pamiętam, jak mama opowiadała, że kiedy się znaleźli w domu, na stole był jakiś talerz z barszczem, właścicielka tego domu zabrała szybko ten barszcz, no bo tym „bandytom” przecież nie należało się nic. Oczywiście tak przedstawiała przybyszów perfidna propaganda. Miejscowi z czasem dowiedzieli się, jak jest naprawdę, i zaczęli odnosić się przyjaźnie do wysiedlonych. Pierwszą szansą, jaka się pojawiła, była możliwość zebrania ziemniaków, które nie były jeszcze do końca wykopane, a drugą zebranie chrustu w lesie na ogrzanie miejsca. Nie wszystkie te pomieszczenia, gdzie umieszczono wysiedlonych, nadawały się do zamieszkania. Były przypadki, że przydzielano ludzi do ruder albo do budujących się domów, niewykończonych, bez drzwi, bez okien.

Ojciec dokumentuje szczegółowo, z nazwiskami, wszystkie straty, jakie poniosła moja wioska. Budynek i rodzinne gospodarstwa, które zostawili, częściowo uległy zniszczeniu, częściowo rozbiórce, czasami zostały przyłączone do bauerów, którzy brali gospodarstwa, nie jedno, tylko kilka naraz. Ludzie na wysiedleniu nie tylko zaczęli od niczego, ale potem byli ścigani przez Niemców łapankami na roboty do Niemiec. Młodzież w tym czasie nie miała możliwości nocować w domu, bo łapanki były przeprowadzane często i co więcej, za takie łapanki, za jedną głowę Niemcy płacili po 50 zł. Moja siostra opowiadała mi, jak miesiącami kryła się przed tymi łapankami, potem udało jej się opuścić Lubelszczyznę i przedrzeć się na Żywiecczyznę podczas wojny. Nie chcę tutaj opowiadać więcej szczegółów, bo można każdy dzień opisać. To była gehenna dziesiątków tysięcy ludzi z Żywiecczyzny. W naszej okolicy 19 tys. osób pozbawiono wszystkiego w ciągu piętnastu minut.

W CIENIU HOLOCAUSTU

Thomas Urban: Jestem pod wielkim wrażeniem prezentowanej tu wystawy, jestem też pod wrażeniem słów księdza biskupa i pana profesora. Oczywiście są to rozdziały historii nienowe dla mnie, ale jednak robi to wielkie wrażenie, jeśli człowiek jest bezpośrednio konfrontowany z takimi zdjęciami czy z takimi wypowiedziami. Faktycznie, istnieje wielki problem w obecnych relacjach polsko-niemieckich,



Fot. ze zbiorów IPN (OKŚZpNP w Łodzi)

Po egzekucji w okolicach Łodzi

polegający na tym, że w Niemczech mało wiadomo o reżimie, o terrorze niemieckim w czasie okupacji. Faktem jest, że większość Niemców ma bardzo słabe wyobrażenie, jak wyglądała okupacja w Polsce, że tu był zupełnie inny reżim niż we Francji czy w Holandii. W pamięci zbiorowej Niemców, jeśli można używać takiego sformułowania, dominuje, jeśli chodzi o drugą wojnę światową i o Europę Wschodnią – Holocaust i wojna ze Związkiem Radzieckim. Los Polaków i reżim okupacyjny w Polsce stoi w cieniu tych dwóch kompleksów. Mogę zacytować prezydenta niemieckiego Herzoga, który dziewięć lat temu, kiedy został przez ówczesnego prezydenta Wałęsę zaproszony na obchody rocznicy Powstania Warszawskiego, powiedział w wywiadzie dla niemieckiego pisma „Stern”, że bardzo się cieszy, że jest wzruszony, iż prezydent Wałęsa zaprosił go na rocznicę powstania w getcie warszawskim. Co to znaczy? To nie była prosta pomyłka, ta pomyłka bardzo dużo pokazuje. Przede wszystkim potwierdza to, że świadomość niemiecka jest zdominowana przez pamięć o Holocaustie. I nie ma wątpliwości, tak ma być, bo to jest najczarniejsza strona w niemieckiej historii. W cieniu tego kontekstu historycznego stoi np. Powstanie Warszawskie. Analizowałem niedawno podręczniki szkół niemieckich,

co tam jest napisane o drugiej wojnie i o niemieckim reżimie okupacyjnym. To nie jest tak, że całkiem to jest przemilczane.

ŚWIADOMOŚĆ NIEMCÓW

Jak wyjść z takiej sytuacji? Niemcy powinni wiedzieć, jak wygląda świadomość zbiorowa sąsiadów, czyli Polaków, którzy są ważnymi sąsiadami Niemców. Ja codziennie jestem z tym konfrontowany w mojej pracy korespondenta. W Niemczech bardzo mało ludzi interesuje się sprawami polskimi. Były prowadzone badania w Instytucie Dziennikarstwa Uniwersytetu Lipskiego, z których wynika, że relacje o sytuacji w Polsce czyta 10–15 proc. Niemców. Akurat ci Niemcy mają, jak mówią socjologowie, bardzo wysoką kompetencję jako czytelnicy, są w ogóle dobrze poinformowani. Wśród tych czytelników są Niemcy, którzy kiedyś żyli na terenie na wschód od Odry i Nysy i mają sporo wiedzy o Polsce. Przeciętny członek Związku Wypędzonych wie więcej o Polsce niż przeciętny inny Niemiec, którego ta sprawa nie dotyczy.

Wobec koncepcji Eriki Steinbach w Niemczech są różne poglądy. Oczywiście nie ma jednolitej opinii, ogólnej opinii, jak to się obserwuje w Polsce. Ja w tym kontekście mam opinię być może na pierwszy rzut oka szokującą w Polsce, bo ja jestem zdania, że takie centrum może zaistnieć. Oczywiście nie w takiej formie, w jakiej zaproponowała Steinbach. Ale takie centrum może stworzyć stronie polskiej szansę pokazania Niemcom (i tu wracamy do tematu tej konferencji), jakie były i jak wyglądały wypędzenia Polaków. Stan obecny jest taki, że Niemcy mało wiedzą o tym, a powinni wiedzieć. Dlatego jestem zdania, że trzeba patrzeć, jakie są wspólne pola. Obecna sytuacja jest taka, że Polacy opowiadają sobie – i to spełnia ważną funkcję społeczną i psychologiczną – jakie były losy Polaków w czasie okupacji. W Niemczech obserwujemy teraz takie zjawisko, że Niemcy, duża część społeczeństwa, ale nie wszyscy, chcą rozmawiać o swoich ofiarach bombardowań, przesiedleń, wypędzeń i o kobietach gwałconych przez żołnierzy z Armii Czerwonej. Ale nie wynika z tego, że jest chęć fałszowania historii.

MOST MIĘDZY MONOLOGAMI

W Niemczech dwa lata temu pokazywany był film dokumentalny, na którego podstawie opublikowano książkę *Ostatnie ofiary Hitlera. Wypędzeni*, która stała się bestsellerem. Tematem tego programu i książki było to, jak w Polsce mówi się krótko, że sami Niemcy zgotowali sobie ten los. To nie były ofiary Bieruta, Benesza, generała Zawadzkiego, Gomułki czy Stalina, to były ofiary Hitlera. Myślę, że w Niemczech jednak jest zgoda na to, że wypędzenie, przesiedlenie Niemców po wojnie było skutkiem wojny, którą rozpoczęli Niemcy. Dlatego hasło o fałszowaniu historii jest nie na miejscu, bo oprócz marginesu nacjonalistycznego, który niestety istnieje w Niemczech, jak w każdym kraju, nikt nie kwestionuje takiej interpretacji 1939 r. i wojny.



Fot. ze zbiorów IPN

Wysiedlenie ludności polskiej z powiatu Biłgoraj

Obserwuję zgodę w moim kraju na to, że Niemcy ponoszą odpowiedzialność za wojnę, i chociaż nie jest zadaniem dziennikarza obrona polityka, ja w tym momencie to robię. Erika Steinbach nie kwestionuje odpowiedzialności Niemców za wojnę i nie interpretuje roku 1939 inaczej, niż robią to historycy niemieccy i polscy. Myślę, że w tym punkcie nie ma takiej wielkiej różnicy w interpretacji, jak to często jest przedstawiane w debacie w Polsce. Jestem zdania, że strona polska powinna przynajmniej spróbować podjąć dialog i przedstawić to, co Polacy chcieliby pokazać Niemcom, a co mieści się w tym krótkim, jaskrawym hasle „wypędzenie”. Niemcy bardzo mało wiedzą o wypędzeniu Polaków z Zamojszczyzny itd. Niemcy nie wiedzą o Powstaniu Warszawskim, które też mieści się pod tym hasłem „wypędzenie”, bo, jak wiadomo, każdy Polak to wie, po Powstaniu Warszawskim ci, którzy nie zostali wzięci do obozów, zostali wypędzeni. Byłaby to więc także okazja, żeby opowiadać Niemcom o Powstaniu Warszawskim. Ja przygotowuję książkę o wypędzeniach i tam będzie rozdział o Powstaniu Warszawskim. Dlatego myślę, że obecna sytuacja wygląda tak – jest monolog na temat wypędzeń po stronie niemieckiej. Niemcy w bardzo niewielkim stopniu rozumieją czy akceptują argumenty strony polskiej. Jest też monolog po stronie polskiej. Polacy nawzajem opowiadają sobie o terrorze niemieckim. Ale trzeba szukać mostu między tymi dwoma monologami.

POLSKIE ZANIEDBANIA

Andrzej Friszke: Chciałbym zwrócić uwagę na pewną rzecz, o której mówił też pan redaktor Urban w odniesieniu do naszych własnych dokonań i zaniechań w zakresie edukacji, nie tylko niemieckiego społeczeństwa (czym też powinniśmy się zajmować), ale naszego polskiego społeczeństwa. Tak się jakoś stało w ciągu ostatnich kilkunastu lat, że zainteresowania historyków publikacje poszły w zupełnie innych kierunkach. I to jest poniekąd zrozumiałe – w okresie PRL zajmowano się bardzo obficie zbrodniami niemieckimi w Polsce, warunkami okupacji niemieckiej w Polsce. Powstały na ten temat dziesiątki książek. Od końca lat osiemdziesiątych pojawiła się możliwość wnikliwszych badań nad zbrodniami sowieckimi, nad powojennymi zbrodniami komunistycznymi, i główny nurt historiografii podążył w tę stronę. Ukazało się wiele prac na te tematy. Tymczasem historycy, którzy zajmowali się okresem okupacji, zbrodniami niemieckimi odeszli na emeryturę, w zasadzie nie pozostawiając następców, którzy by się tym samym dalej zajmowali, a niektóre instytucje wręcz się przekwalifikowały i zajmują się czym innym. Efekt tego jest, powiedziałbym, dość dramatyczny.

Kiedy wybuchła sprawa Centrum Wypędzonych – w zasadzie próbujemy uruchomić rezerwy, żeby być w stanie podjąć dialog. Przed konferencją rozmawialiśmy o fundamentalnej pracy prof. Czesława Madajczyka o okupacji niemieckiej w Polsce, która wyszła w 1970 r. w niezbyt wielkim nakładzie. Ona jest dostępna badaczom, ale nigdzie nie można jej kupić. Nasza wiedza na temat wojny nie jest doskonała, delikatnie mówiąc, nowe prace nie powstają. Można mieć nadzieję, że efektem tej burzy wokół centrum będzie i to, że zostanie wyrównany front, czyli pojawią się badacze, którzy ponownie zajmą się problemami okupacji, z inną wrażliwością na różne konteksty, niż czyniono to czterdzieści lat temu, z większą wrażliwością na problemy, o których wtedy albo nie myślano, albo nie wolno było pisać.



OBLICZANIE STRAT

Pamiętam, że kilka lat temu, przygotowując jakąś pracę dotyczącą spraw okupacji, zwróciłem się o pomoc do prof. Madajczyka. Okazało się, że szalenie trudno jest dokonać bilansu polskich strat w czasie okupacji. Badacze kwestionują wiele wskaźników cyfrowych przyjmowanych w okresie PRL dla opisanie różnorodnych represji podejmowanych w czasie okupacji. Wiele danych podawano w niezbyt precyzyjny sposób. Akurat problemu wypędzeń może to w tak wielkim stopniu nie dotyczy, jak sprawy ofiar czy więźniów obozów koncentracyjnych. Nie jesteśmy w stanie doliczyć się, ilu było więźniów obozów koncentracyjnych. To był właśnie przedmiot mojej rozmowy z prof. Madajczykiem. Tak wielki badacz też w zasadzie był bezradny w oszacowaniu liczby ofiar, poza ogólnymi stwierdzeniami, że było to kilkaset tysięcy ludzi.



Fot. ze zbiorów IPN Poznań

Poznań. Dziecko zmuszone przez Niemców do noszenia ośmieszającej tablicy

W próbach tworzenia bilansu strat polskich najważniejszą chyba publikacją syntetyczną jest praca z 1994 r., w której zawarta jest dyskusja wielu wybitnych historyków, usiłujących policzyć polskie ofiary; w tym wypadku chodzi o ofiary bezpowrotne, czyli po prostu zabitych, zamordowanych. Chodzi mi o specjalny numer „Dziejów Najnowszych” z wypowiedziami prof. Czesława Łuczaka, prof. Krystyny Kerstenowej, prof. Mańkowskiego. Jak się w to dokładnie wczytamy, to z danych wynika, że liczby znane nam wszystkim z podręczników szkolnych: 6 mln ofiar ogólnie, 3 mln Żydów i 3 mln nie-Żydów, w świetle obecnej wiedzy chyba się nie bronią. Zginęło 2 mln Polaków etnicznych, to daje się wyliczyć, przy czym łącznie z okupacją sowiecką, ale straty poniesione z rąk sowieckich wynoszą najwyżej 300–400 tys. Znaczna większość ofiar bezpowrotnych, czyli śmiertelnych z czasów wojny, to są ofiary polskie, które poniosły śmierć z rąk niemieckich.

ILU WYPĘDZONYCH

Ten wstęp był mi potrzebny po to, by zaznaczyć, że te liczby, które za chwilę podam, są wynikiem prób ostrożnego liczenia, żeby nie podawać liczb szokująco wielkich, ale nie mających oparcia w danych rzeczywistych. Liczby, które podam, zostały zaczerpnięte z pracy prof. Czesława Łuczaka, zmarłego niedawno wybitnego znawcy okupacji niemieckiej, zwłaszcza na ziemiach zachodnich, w Wielkopolsce, ale nie tylko. Mianowicie prof. Łuczak obliczał, że w okresie 1939–1944 w Kraju Warty Niemcy wysiedlili w sumie 630 tys. ludzi, Polaków, z których część trafiła do Generalnego Gubernatorstwa, mniej więcej na takich zasadach, jak opisywał to tutaj ks. bp Pieronek, zwykle przez jakieś obozy przejściowe i potem lokowanie kątą u kogoś. Część wywieziono na roboty do Niemiec i rozproszono w postaci robotników przymusowych w III Rzeszy. Ze Śląska wywieziono ok. 80 tys. ludzi, z Pomorza, według Łuczaka, 124 tys. Prof. Bogdan Chrzanowski, który całe życie zajmuje się badaniem okupacji na Pomorzu, pokazuje pewne rozbieżności co do liczb dotyczących tego terenu. Z okręgu białostockiego i ciechanowskiego to jest po 25–28 tys. Ziemie te zostały wcielone do Rzeszy. Łącznie, jeśli dodać do tego dzięki wysiedlenia na Pomorzu, Łuczak obliczał, że z ziem wcielonych do Rzeszy usunięto ponad 900 tys. osób, dokładnie 923 tys. Tylu ludzi w ciągu czterech lat zostało usuniętych z ziem, które miały zostać poddane silnej i szybkiej germanizacji. Na terenie GG największy obszar wysiedleń, stanowi ziemia, na której jesteśmy, stąd wysiedlono 116 tys. ludzi. Gigantycznym obszarem wysiedleń była Warszawa po Powstaniu Warszawskim. Obejmuje to ponad pół miliona ludzi wyrzuconych z miasta. Według obliczeń prof. Łuczaka wysiedlenia na całym terenie ziem polskich pod okupacją niemiecką objęły 1 mln 710 tys. osób. Niektóre dane mogą być w wyniku uściśleń obniżone, ale to nie będzie znaczące dla tego bilansu. To jest liczba gigantyczna.

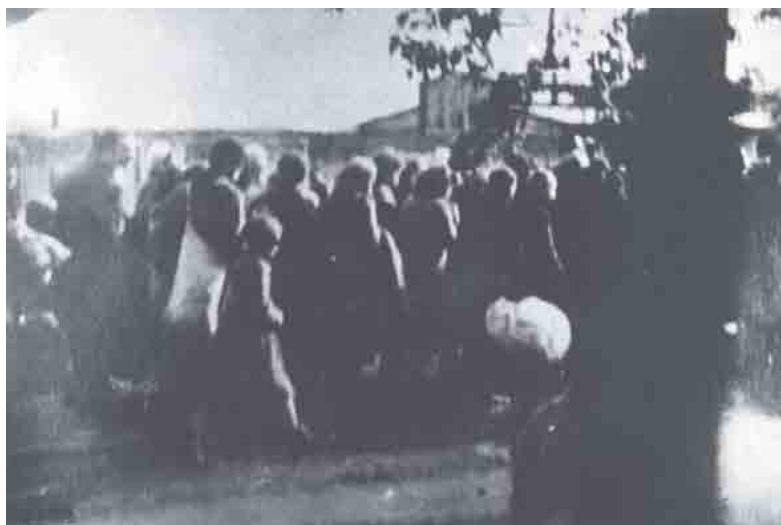
Podczas tego spotkania się tym nie zajmujemy, ale trzeba mieć to w perspektywie – wysiedlenia na ziemiach wschodnich z roku 1940, wysiedlenia do Związku Sowieckiego. Różne liczby kiedyś podawano, obecnie przyjmuje się, w wyniku ustaleń przede wszystkim historyków rosyjskich, do 400 tys. osób wysiedlonych. To jest w sumie ponad dwa miliony ludzi brutalnie wyrzuconych z własnych domów, w bardzo szybkim tempie pozbawionych majątku. Mniej więcej wszędzie wysiedlenie wyglądało podobnie jak to, o czym mówił ksiądz biskup. Czasami trochę gorzej, czasami trochę lepiej.

INŻYNIERIA SPOŁECZNA

Wysiedlenia, wypędzenia, masowe przesiedlenia, to jest specyfika historii powszechnej głównie XX wieku. Początek tych wielkich akcji ma miejsce w czasie pierwszej wojny światowej. Intencje bywały różne w tym czasie, czasem bardzo złe, a czasem zmierzające do złagodzenia pewnych konfliktów. Pierwszy przypadek zmuszenia ludzi do opuszcze-



nia ich siedzib w czasie I wojny wiązała się z konfliktem turecko-ormiańskim. Turcy zamordowali wtedy blisko milion Ormian. Pierwsze wielkie ludobójstwo XX wieku stanowi zapowiedź tego, co się stanie podczas drugiej wojny światowej. Około pół miliona Ormian, w warunkach masakry, która się tam odbywała, ratowało się ucieczką. To jest pierwsze wielkie wysiedlenie dwudziestowieczne. Społeczność międzynarodowa, zmierzając do załagodzenia konfliktów etnicznych na sporych obszarach (głównie dotyczyło to obszaru dawnego państwa tureckiego) była gotowa zaakceptować zasadę wymiany ludności. W 1919 r. podpisano



Fot. ze zbiorów IPN

Wysiedleni w drodze na Majdanek

traktat, na mocy którego przeprowadzono wymianę ludności między Grecją a Bułgarią. W 1923 r. konwencja w Lozannie zdecydowała o wymianie ludności z terenów greckich i tureckich. Ta wymiana objęła, jak się oblicza, łącznie ze spontanicznymi ucieczkami, dwa miliony ludzi. To też była sytuacja gigantycznych przesunięć ludności.

Oczywiście te uwagi nie zmiernają do tego, żeby zrelatywizować tragizm wojennych wysiedleń. Pokazują drogę, na którą weszli Europejczycy, ale też pokazują, że wysiedlenia, których dokonywano w czasie drugiej wojny światowej, podporządkowane były jednemu celowi, tzn. oczyszczeniu etnicznemu ziem polskich pod kolonizację niemiecką i zmianie etnicznego charakteru tego kraju. Były zatem elementem wielkiej inżynierii społecznej.

KTO WYSIEDLAŁ NIEMCÓW

Trzeba powiedzieć też słowo o wypędzeniach Niemców i o tym, co się działo w latach 1945–1947. Przede wszystkim należy podkreślić, że część tego gigantycznego procesu wypędzeń uruchomił sam Hitler w sposób całkowicie bezpośredni. Pierwsze wyjazdy Niemców odbywały się na

rozkaz konkretnych władz niemieckich i przy zorganizowaniu odpowiednich środków transportu. Ja w tej chwili boję się rzucać liczbami, ale dotyczy to i ludności Wrocławia, i wielu miast Prus Wschodnich. Te słynne statki bombardowane i torpedowane na Bałtyku przez Rosjan, które przewoziły ludność cywilną w ramach zorganizowanej niemieckiej akcji ewakuacyjnej. W Polsce mało się o tym wie.

Jeśli debata polsko-niemiecka będzie się toczyć w sposób mniej emocjonalny, pozwoli dowiedzieć się, co Hitler i jego kompani wymyślili, żeby tych wszystkich ludzi przed nadchodzącym frontem zabierać w gigantycznych ilościach na zachód. Przecież nie względy humanitarne o tym decydowały. Te ucieczki organizowane przez władze nazistowskie oraz ucieczki spontaniczne, będące wynikiem tej paniki, którą podsycano, objęły *de facto* większość ludności tego terenu. Większość tak zwanych wypędzonych (bo tak nazywają ich Niemcy) uszła, zanim nadszedł front i zanim przyszłość tych ziem została zdecydowana.

Decyzje o wysiedleniu Niemców z terenów, które zostały przyznane Polsce na mocy konferencji poczdamskiej, obejmują, jak oceniają historycy (te sprawy były dość pieczołowicie badane w ciągu ostatnich lat), około trzech milionów ludzi. Są to wysiedlenia, które zostały zaakceptowane przez społeczność międzynarodową – w postaci zwycięskich mocarstw, choć odbywały się za pełnym przyzwoleniem i akceptacją społeczeństwa polskiego. Nie było właściwie w tamtym czasie sprzeciwów wobec zasad wysiedlania Niemców z Polski, nikt się nie sprzeciwiał. Trudno sobie wyobrazić taki sprzeciw, jeżeli pamiętamy o tym, że zbrodnie niemieckie spowodowały u wielu ludzi poczucie krzywdy, a często i pragnienie odwetu. Taka sytuacja relatywizowała wszelkie możliwe zranienia strony przeciwnej, obwinianej o tak masowe zbrodnie. Przyzwolenie na wysiedlenie Niemców z Polski wynikało też z przekonania, bardzo silnego i słusznego, że gdyby tych wysiedleń nie dokonano, to współżycie tych dwóch narodowości na jednym terenie byłoby w zasadzie niemożliwe. Nie bardzo można sobie wyobrazić w pierwszych dwudziestu–trzydziestu powojennych latach, w kontekście pamięci drugiej wojny światowej, współżycie Niemców i Polaków na jednej ziemi.

Częstym zwyczajem na konferencjach IPN jest odwoływanie się do własnych wspomnień i świadectw, i ja to zrobię. Urodziłem się w Olsztynie. Tam mieszkałem do osiemnastego roku życia. Pamiętam ze swego dzieciństwa to niesłychane napięcie między Polakami a resztką pozostałej tam ludności. To nawet nie byli Niemcy, to właściwie byli Mazurzy, ale na ogół byli identyfikowani jako Niemcy. Niekiedy sami się uważali za Niemców. Zapamiętałem to wielkie napięcie między ludnością mówiącą po polsku i ludźmi, którzy posługiwali się niemieckim. Nie wyobrażam sobie w tamtych czasach funkcjonowania obok siebie takich społeczności w większej skali, na większych obszarach. Jest potrzebny upływ czasu, czas leczy wszystkie rany, nie powinien jednak prowadzić do zapomnienia, bo to jest bardzo niebezpieczne. Mam nadzieję, że tocząca się de-



bata przyczyni się w perspektywie przede wszystkim do ożywienia w nas samych pamięci o drugiej wojnie światowej i o popełnionych wówczas zbrodniach oraz umożliwi przeniesienie tej informacji i przyjęcie jej przez jakąś istotną część społeczeństwa niemieckiego.

MIGRACJE NA LUBELSZCZYŹNIE

Zygmunt Mańkowski: Zakład Historii Najnowszej UMCS prowadził bardzo dokładne badania na temat tego, co się stało na Lubelszczyźnie w czasie drugiej wojny światowej. Janina Kiełboń napisała pracę doktorską, niedostrzeżoną przez historiografię, pod tytułem *Migracje ludności w dystrykcie lubelskim w latach 1939–1944*. Staraliśmy się pokazać, co się działo podczas okupacji w zakresie migracji ludności. Przedstawiliśmy państwu tylko wyniki naszych ustaleń. Osadzono około 5 tys. jeńców wojennych. Na Majdanek skierowano 250 tys. osób. Przesiedlono Żydów, Polaków, Niemców i Ukraińców – w sumie 878 tys. Jeśli chodzi o Żydów, to 600 tys. trafiło do Bełżca. Wywieziono 260 tys. Wewnątrz dystryktu przeniesiono 442 tys. Globalnie, według bardzo dokładnych badań Janiny Kiełboń, zmieniło miejsce pobytu w jednym tylko dystrykcie 1 mln 580 tys. osób, w tym 750 tys. mieszkańców województwa było przesiedlonych; 30 proc. przedwojennych mieszkańców. Mówi to wiele o gigantycznych transferach, migracjach, które przeszły przez to województwo. Było to dosyć typowe.

DZIECI ZAMOJSZCZYŹNY

Julian Grudzień: Tak się złożyło, że kieruję związkiem, który w swoich szeregach skupia więźniów byłych obozów koncentracyjnych. Najliczniej-



Fot. ze zbiorów IPN

Badanie przez niemieckiego lekarza. Wysiedlenie z powiatu Biłgoraj

szym u nas środowiskiem są „dzieci Zamojszczyzny”. Chciałem serdecznie podziękować panu profesorowi Leonowi Kieresowi i IPN, że ta sesja, dyskusja odbywa się właśnie w Zamościu, że jest tu wystawa poświęcona dzieciom, traktująca o obozie w Łodzi. Wiele osób z Zamojszczyzny przeszło też przez ten obóz. Trzeba podziękować panu prof. Mańkowskiemu za słowa o charakterze wysiedlenia na Zamojszczyźnie. To trudno nazwać przesiedleniem. Ja doznałem tego na własnej osobie, byłem małym, czteroipółletnim dzieckiem i w zasadzie nie pamiętam tych spraw. Trudno to nazwać przesiedleniem, jeżeli wypędza się mieszkańców z ich domostw, zabiera się dobytek całego życia, tak że tracą wszystko na okres trzech, czterech, pięciu lat. Wracali w 1945 r. w swoje strony. Z wielkim szacunkiem dla słów wypowiedzianych przez księdza biskupa, nie mówiąc, że ktoś bardziej, ktoś mniej ucierpiał w tym okresie, chciałem tutaj podkreślić, że to co, się działo na Zamojszczyźnie, szczególnie w pierwszym rzucie wysiedleń, poczynszy od listopada 1942 r. i zimą, do lutego 1943 r., to była sprawa wręcz nie do opowiedzenia. Starsi ludzie pamiętają, mróz sięgał trzydziestu stopni i poniżej. I w takich warunkach rozpoczęły się transporty kolejowe z obozu zamojskiego (od 10 listopada 1942 r.) w okolice Siedlec. Niekiedy te pociągi po kilka dni turlały się po ziemi siedleckiej, zanim zabrano z nich dzieci i rodziny. Ale nie o tych cierpieniach chciałem mówić. Bardzo mi jakoś przykro, że z wypowiedzi wynikało, że Niemcy nie wiedzą, co zrobili Polakom, a w szczególności Zamojszczyźnie. Jest takie opracowanie Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, na podstawie różnych dokumentów, wydane w czterech językach, w którym wyraźnie napisano, że takiego czegoś w okresie drugiej wojny światowej i okupacji hitlerowskiej, takiej masowości i takiego tragizmu, jaki miał miejsce na ziemi zamojskiej, nie było w całej Europie i na świecie. Tam mówi się o ludobójstwie i dzieciobójstwie. Te trzydzieści tysięcy dzieci o czymś mówi. Nieznana jest liczba dzieci, które zmieniły nazwisko i zostały wywiezione na zniemczenie do III Rzeszy. Trudno to ustalić. Zamość jest miastem zaprzyjaźnionym z miastem niemieckim, przyjeżdżają tutaj i niemieccy uczeni i młodzież, wycieczki. W ubiegłym roku na Zamojszczyźnie był kręcony film o okresie wysiedleń i tragedii dzieci. Słyszałem, że ten film był pokazywany w telewizji niemieckiej.

Niemcy posiadają bardzo wiele dokumentów, między innymi w specjalnym archiwum, gromadzącym akta dotyczące więźniów obozów koncentracyjnych i obozów pracy, w Bad Arolsen. Ja otrzymałem stamtąd akt zgonu mojego ojca, który zginął w Oświęcimiu, z taką tłoczoną pieczęcią wydaną przez urząd miasta Bad Arolsen. Są dokumenty dotyczące liczby osób, które zginęły, które przebywały w więzieniach. Wiadomo, że udało się przeżyć nielicznym. Mnie się wydaje bardzo ważne to, że dzisiejsza dyskusja i wystawa odbywają się w Zamościu. Chciałbym zwrócić się z prośbą, żeby zostały opracowane materiały z tej dyskusji, żeby w końcu udowodnić stronie niemieckiej, jaki charakter miały wysiedlenia na terenie Zamojszczyzny, jaki charakter w stosunku do dzieci miał hitlerowski obóz u zbiegu ulic Piłsudskiego i Okrzei. Istotne jest postanowienie pol-

skiego Sądu Najwyższego z 1982 r., które mówi, że obóz zamojski uznaje się jako równorzędny obóz koncentracyjny dla dzieci do lat 14. Są wokół tego różne niedomówienia, różne niejasności. Jeżeli będziemy wspólnie nad tym pracować, to społeczeństwo niemieckie w końcu dowie się, co działo się w okresie okupacji w Polsce i na ziemi zamojskiej. Wiem, że nie znają tego młodzi ludzie i ci, którzy nie chcą nic o tym wiedzieć. Ja oprócz ojca straciłem trzech stryjków – rodzonych braci mojego ojca. Nie chcę mówić o tragediach tej wojny. Może kiedyś ktoś się o tym dowie w Niemczech. Teraz jest fundacja niemiecka dotycząca odszkodowań „Pamięć, odpowiedzialność, przyszłość” i Fundacja Polsko-Niemieckie Pojednanie. Czy nie śmieszne wydaje się dla społeczności niemieckiej, żeby dziecku, które straciło w obozie Auschwitz oboje rodziców i od dzieciństwa jest sierotą, przyznać tysiąc marek odszkodowania? Nie chodzi o pieniądze, tylko o to, jak się do tej sprawy podchodzi.

Thomas Urban: Problem nie leży w publikacjach, bo są, również po niemiecku, publikacje o Zamościu, podobnie jak są publikacje o Powstaniu Warszawskim. Problem polega na tym, jak wpływać na to, żeby ludzie je czytali. To jest problem pedagogiczny, pedagogom w Polsce ten problem też nie jest obcy. To jedno. Co zaś dotyczy odszkodowań dla robotników przymusowych w Niemczech, to umowy o takich odszkodowaniach nie zostały zakwestionowane przez żadną partię w Polsce i istnieje ogólna zgoda na ten temat. Zawsze będzie pytanie o ich wysokość, ale społeczeństwo wie, że Niemcy mają ponosić za to odpowiedzialność.

MILCZENIE O WOŁYNIU

Teresa Radziszewska: Ja również pochodzę z Zamojszczyzny. Mój dziadek w 1922 r. pojechał na Wołyń, tam kupił ziemię i tam przesiedliła się cała moja rodzina. W 1940 r. mieliśmy takie szczęście, że Sowietom nie wywieźli nas na Syberię. Rodzice mieli już przygotowane suchary. Potem wkroczyli Niemcy, wywozili na roboty do Niemiec. W 1943 r. Ukraińcy dokonali tego, co się zwie wypędzeniem czy rzezią. Ja zostałam sama. Zamordowali mi rodziców i rodzeństwo. Miałam wówczas 9 lat. Na temat tych mordów na Wołyniu nikt nie mówił i nie mówi się nadal. Ja uciekałam boso, w cienkiej sukience. Rodzice zginęli 4 września, brat miał 5 lat, siostra 3, najmłodszy braciszek półtora roku. Z mojej miejscowości 92 osoby zostały zamordowane przez Ukraińców. Otoczyli całą naszą kolonię. Mordowali siekierami, kłuli widłami, czym się dało, małe dzieci powrzucaли do studni. To były straszne rzeczy, to była tragedia, której się nie da opisać. Mam tutaj wspomnienia dzieci Wołynia, o których się nie mówi. Dzieci Zamojszczyzny, my im nie zazdrościmy, przeszły okropne rzeczy, wiadomo, ale dziś one mają jakieś przynajmniej symboliczne odszkodowania, a dzieci Wołynia nie mają nic. Nawet się o nich nie mówi. To jest okropne, bo to jest tak, jakbyśmy my nie byli dziećmi polskimi, jakby tam nie było Polski.



Nie wiem, dlaczego o tym się nie mówi. Sześćdziesiąta rocznica doprowadziła do tego, że świat dowiedział się wreszcie trochę o morderstwach dokonywanych na Wołyniu. Jest na rotundzie krypta pamięci Polaków pomordowanych na Wołyniu. Tam jest parę tysięcy nazwisk na tablicy zawieszanej przez osoby, które zostały wypędzone, uciekły stamtąd; bo trudno nazwać przesiedleniem to, że ludzie uciekali spod siekier i łopat Ukraińców.

TRUDNA PAMIĘĆ

Grzegorz Motyka: Chciałem wrócić do tekstu Helgi Hirsch, który ukazał się w „Rzeczpospolitej”, a który poruszył mnie osobiście. Helga Hirsch powoływała się tam na losy młodego pokolenia Niemców, pośrednio dotkniętego wojną. Podawała przykład jednego z młodych Niemców, który dowiedział się, że jego dziadek był uwikłany w zbrodnie wojenne, i pisze, jak wielkim problemem dla tego młodego człowieka jest to, że nigdy wcześniej o tym nie dowiedział się od swojej rodziny, od babci. Podała też kilka innych przykładów dotyczących problemów młodych Niemców związanych z przeszłością. Ja jestem z Mazowsza, z terenów wcielonych do Rzeszy, w mojej rodzinie wspomnienia okupacyjne były bardzo często przywoływane. Mój dziadek zginął w obozie koncentracyjnym w Mauthausen-Gusen za przynależność do polskiej konspiracji. Dla mnie miejscem, do którego na pewno chciałbym kiedyś w życiu pojechać, jest właśnie Mauthausen-Gusen. Chciałbym to miejsce zobaczyć, ale w związku z tym nie potrafię zdobyć się na współczucie i pełne zrozumienie tego typu postawy i tego typu argumentacji. Powiem więcej, w tekście Helgi Hirsch poczułem, jakby mi próbowano powiedzieć, że ta moja pamięć wojenna nie jest ważna, że po stronie polskiej to dotyczy tylko pokolenia dziadków. Chciałem zadać wszystkim panelistom pytanie, jak pamiętać o tej wspólnej przeszłości, aby się nie zapamiętać po prostu, żeby ta przeszłość nie utrudniała nam przyszłości? Jak powinniśmy temu zaradzić, jeśli w ogóle jest jakaś odpowiedź na to pytanie?

BEZ NIENAWIŚCI

Zygmunt Mańkowski: Politologia UMCS prowadziła badania dotyczące przeszłości – nie tylko tego, jak tę wysiedleńczą i osadniczą przeszłość zapamiętano, ale jak wpływa ona na odnoszenie się do Niemców. Powiedziałem już, że żał mi tych Niemców, których tutaj osiedlono, w liczbie 12 tys., którzy padli ofiarą tej manipulacji niemieckiej, tragicznej, bo przecież ich tutaj przeniesiono z różnych stron – to byli Niemcy nie tylko z Besarabii i Bukowiny, ale i wołżańscy, i spod Leningradu i nawet ze Słowenii, których sami Niemcy określili jako bardzo niebezpiecznych dla Niemców. Okazało się, że z biegiem lat poglądy jakoś złagodniały. W ankietach nie przejawiano jakiejś głębokiej nienawiści do Niemców, rozumiano, że minęło jedno i drugie pokolenie, że to, co się stało, jest tragiczne, ale że nie możemy się z nienawiścią odnosić do Niemców. Kiedy chodzę po

Zamojszczyźnie, to widzę, że te sprawy przestały być już tak gorące, palące, budzące nienawiść. Ludzie chcą jednak zrozumieć – dlaczego to się stało, kto jest temu winien. Tu, na tej sali, była taka dyskusja, kiedy mówiono, że to wszystko zrobił Hitler i niemiecka elita, ale sprzeciwili się temu historycy z całego świata. Uważano, że cały naród niemiecki jest winien temu, co się stało. Czas robi swoje, oddala się to wszystko. Jest jednak groźne ostrzeżenie – definicja ludobójstwa stworzona przez trybunał w Norymberdze. To jest bardzo groźna przestroga, że takie rzeczy mogą się powtórzyć. I dlatego ta wielka zbrodnia tutaj popełniona nie powinna być zapomniana.

ZROZUMIEĆ DRUGICH

Thomas Urban: Ja też w końcu chciałbym powiedzieć parę słów osobistych. Znam opowieści wujków i ciotek mojej żony o tragedii na Wołyniu i na Kresach, bo moja żona jest z Wrocławia, a jej rodzina pochodzi z Kresów. Dlatego ja osobiście też dużo słyszałem o tych tragediach. Nie ma wątpliwości, że były one tolerowane i inspirowane, a być może nawet zorganizowane przez okupanta niemieckiego. Z drugiej strony moi rodzice są też z Wrocławia, z Breslau, więc ja czuję się w tych rozmowach o wypędzeniach trochę „pomiędzy”. Rozumiem, że to jest bardzo ważne. I nie chodzi o to, że są napisane książki o wszystkich rozdziałach wojny. Bardzo ważne jest to, żeby ci, którzy czują się pokrzywdzeni (subiektywnie po stronie niemieckiej też wielu ludzi czuje się pokrzywdzonymi, tak jak po stronie polskiej), mieli świadomość, iż druga strona wie o ich losie. Z opowiadań mojej matki, która teraz ma osiemdziesiąt lat, ja jako dziecko wiedziałem, że Niemcy musieli opuścić Dolny Śląsk. Ale też jako dziecko dowiedziałem się od moich rodziców, że ci Polacy, którzy tam teraz mieszkają, też niedobrowolnie tam przyszli, też zostali przesiedleni, wypędzeni itd. Obserwuję, że teraz większość starych ludzi, prawie wszyscy, dąży do wewnętrznej harmonii i do pojednania. Byłem w zeszłym roku ze swoją starą matką we Wrocławiu i ona wzruszyła się bardzo, oglądając, jak Polacy pięknie wszystko wyremontowali. Myślę, że my nie możemy zapominać, że najważniejsze jest, że istnieje dialog, i że każda strona musi go akceptować niezależnie od tego, że sprawcami i inicjatorami tej wojny byli Niemcy, bo tego nikt nie kwestionuje, że ważna w tym kontekście jest empatia dla drugiej strony.

DZIEDZICZENIE PAMIĘCI

Andrzej Friszke: Tylko jedna uwaga do, jak rozumiem, krytyki tego wyliczenia, że pominąłem Wołyń. Oczywiście, państwo mają rację, że to też były wypędzenia, wysiedlenia i one by się nie odbyły, gdyby Niemcy nie dali na to przyzwolenia, ale ta liczba, którą ja wymieniałem, dotyczy wysiedleń zorganizowanych przez administrację i przeprowadzanych systematycznie według pewnego planu. Wołyń jednak jest czymś innym, to jest spowodowanie takiej sytuacji, że ludzie sami uciekają, dokonuje się masowy exodus, to w działaniach okupanta niemieckiego było coś



szczególnego, gdzie indziej tego nie zrobiono. Zwykle to były uporządkowane wysiedlenia, wieś po wsi, policja zajeżdżała i wysiedlała. Podane przeze mnie liczby dotyczyły tylko tego typu działań.

Przede wszystkim myślę, że trzeba pamiętać, bo brak pamięci jest rzeczą bardzo, bardzo złą. Pytanie: czy jest coś takiego jak dziedziczenie win? Ono się pojawia. Myślę, że nie ma czegoś takiego jak dziedziczenie win i w związku z tym następne pokolenia nie ponoszą odpowiedzialności za to, co złego robili ich rodzice czy dziadkowie. Natomiast oczywiście powinny pamiętać, że coś takiego było. Nie mogą się tego wyprzeć, nie mogą uznać, że to ich nie dotyczy, bo to ich dotyczy. Nie ma dziedziczenia win, jest dziedziczenie pamięci. Ta pamięć powinna być przestrogą, żeby się nie powtórzyły kolejny raz tak straszne tragedie. Często chyba dzieje się tak, że tragedie się powtarzają przez nieświadomość, przez brak pamięci, przez uznanie, że to, co robiono kiedyś, nie ma żadnego znaczenia. Myślę, i tu się godzę z panem redaktorem, że jest nam wszystkim potrzebna pewnego rodzaju empatia i spokój w rozważaniu tej przeszłości, bo pamięć nie powinna być sprzężona z uczuciem nienawiści czy takim ostrym zapamiętaniem, choć czasem jest to zrozumiałe, w przypadku gdy dotyczy to ludzi, którzy wspominają własne cierpienia. Ale gdy dotyczy to następnych pokoleń, to już nie jest to takie zrozumiałe i może być bardzo niebezpieczne. Należy próbować przeciwstawiać się takiemu zapamiętaniu i sianiu nienawiści. Trzeba dążyć do tego, by zrozumieć, że i Niemcy się zmienili, i Ukraińcy się zmienili; dążyć do empatii i budowania lepszego, wspólnego świata.

Śródtytuły pochodzą od redakcji. Oprac. Barbara Polak i Jan M. Ruman

